

BESTIARIUM POLSKIE

Krzysztof Varga

Wymazać Lupe, wyciąć teatr!



Spośród rozlicznych afer, jakie dzieją się niemal każdego dnia, największe moje zainteresowanie wywołała sprawa szwajcarskiego skandalu związanego z odwołanym przedstawieniem Krystiana Lupy. Otóż genewski teatr, w którym reżyser miał wystawić sztukę „Les Emigrants” według książki W.G. Sebald, a co więcej pojechać z tym spektaklem na słynny festiwal do Awinionu, postanowił Lupę przegonić z powodu konfliktu, w jaki wdał się z tamtejszą obsługą techniczną, a także dlatego, że nawrzeszczał publicznie na swoją tłumaczkę. Szwajcarzy uznali, że takie metody pracy są nie do przyjęcia, że ich etyka pracy z natchnioną „etyką celu” Lupy nie współgra w żaden sposób, że monolog Lupy o długości przemówień Fidela Castro zamiast pracy z aktorami, a także wpierniczenie się w proces twórczy permanentnie nastukanego jak helikopter asystenta Lupy nie rokują żadną miarą, że uda się to wszystko pospinać. Szwajcarzy, ci bezduszni producenci zegarków, wyzbyci prawdziwej wrażliwości na sztukę potomkowie Kalwina i Zwingliego, przywiązani są najwyraźniej do procedur, zasad i prawa pracy, które nie obowiązują geniuszy przybywających na helwecką ziemię z przesiąkniętej mistyką Polski.

Otóż uważam, i utwierdzają mnie w tym przekonaniu reakcje medialne oraz żarliwi komentariusze z internetu, że afery Lupy to nie jest rytualna nawalanka wokół chimerycznego reżysera teatralnego i nie to jest schadenfreude z upadku autorytetu teatralnego. A przynajmniej nie jest to wyłącznie schadenfreude, bo założę się, że w paru miejscach strzeliły korki od prosecco i kilku mniej uzdolnionych, lecz ambitnych artystów wychyliło po kieliszku na pohybel gilotynowanemu właśnie królowi polskich scen.

Utwierdzam się w przekonaniu, że jest to kolejna odsłona wielkiego konfliktu kulturowego i generacyjnego, jaki przetacza się przez Polskę. Dwie stoją po dwóch stronach barykady armie. Jedna woła, by Lupe skasować i unieważnić cały jego potężny dorobek, wymazać go i wyciąć do spodu. Armia druga krzyczy, że Lupy tykać nie wolno, bo geniusz ma swoje prawa, sztuka wymaga poświęceń, w bólu i cierpieniu rodzą się arcydzieła, gdy zaś wprowadzimy poprawnościowe zapisy do teatru, to pozostaną nam do wyboru wyłącznie mdła paciaja bez smaku albo ciepłe kluski bez omasty. Ja chętnie zgodzę się z tym, że tworzenie wielkiej sztuki to krew, pot i łzy, nie tylko samego artysty, ale wszystkich, którzy go otaczają, lecz zgodzę się też z tym, że nikt nie musi poświęcać dla geniusza swojej krwi, swojego potu i swoich łez. Coś mi się zdaje, że tu miejsca na kompromis nie ma, nie spoczną bo-

wiem ci, którzy chcą zobaczyć truchło Lupy wleczone po ulicach za rydwanem rewolucji moralnej, i nie dadzą się przekonać ci, którzy uważają, że wieszczowi polskiego teatru wszystko wolno, także gnębić aktorów i techników, bo ci iść za nim powinni, jak szczury za flectistą z Hameln.

Aferę z Lupą śledzę skrupulatnie od początku i czekam na mowę obrończą oskarżonego, ciekaw niezwykle, jak wytłumaczy się z owej sprawy genewskiej. Takowa ukazała się w „Gazecie Wyborczej” w formie natchnionego monologu Lupy, dla niepoznaki nazwanego wywiadem z nim. Powiadam, że to nie wywiad, ale monolog, dla picu wyłącznie inkrustowany bałwochwalczymi pytaniami dziennikarki, najwyraźniej oślepionej blaskiem i otumanionej głątwą przepotężnego guru. Sam Lupa zresztą oświadcza w tej kuriozalnej publikacji, że jest „człowiekiem monologu”, co unieważnia w zasadzie wszystko, co wydrukowano, bo wywiad z zasady winien być dialogiem, a przynajmniej osoba pytająca nie powinna występować w roli siostry miłosierdzia, lecz przyduszać delikwenta przyziemnymi pytaniami. Lupie najwyraźniej przyziemnych pytań zadawać nie uchodzi. Wywiad przeprowadzo-

Chętnie zgodzę się z tym, że tworzenie wielkiej sztuki to krew, pot i łzy, ale zgodzę się też z tym, że nikt nie musi poświęcać dla geniusza swojej krwi, swojego potu i swoich łez

ny przez Ewę Kaletę przeczytałem w udręce i zdumieniu, bo Kaleta robiła doskonałe rozmowy z artystami u progu katastrofy, ale z Lupą rozmawiała, leżąc plackiem przed potęgą jego narcystycznego egoizmu.

Można uznać, że kimże są szwajcarscy dźwiękowcy wobec monumentalności polskiego geniusza, że czas wymaże z pamięci genewskich techników, a gwiazda Lupy będzie świecić na wieki. Bo któż dziś pamięta o budowniczych piramidy Cheopsa, a o Cheopsie i jego piramidzie wszak wie każde dziecko. Tyle że szwajcarski dźwiękowiec czy facet od świateł nie musi przykładać się do wznoszenia świątyni boga teatru, on ma solidnie wykonać swoją pracę w ramach etatu, a sam teatr może mieć w głębokim lekceważeniu. Praca jak praca – mógłby oświetlać równie dobrze mecze szwajcarskiej ligi piłkarskiej albo koncerty szwajcarskich gwiazd disco, czniając futbol czy rodzime disco. Szwajcarski dźwiękowiec nie musi rozumieć Lupy, mówiącego: „Dźwiękowiec jest kreatorem teatralnego powietrza, dźwięk jest duszą zdarzenia”, że zacytuję godną mistrza coachingu

wypowiedź z „Gazety Wyborczej”. Szwajcarski dźwiękowiec może chcieć dobrze wykonać swoją pracę w ramach godzin na tę pracę przeznaczonych, nie zaś kreować powietrze i uwalniać duszę zdarzenia.

Nie jestem znawcą Lupy, podobnie jak daleko mi do wybitnego znawcy teatru, ale do teatru chodzę i parę sztuk Lupy widziałem. Długość, powolność i nadętość tych inscenizacji zdała mi się hochsztaplerska, całość mocno watowana, mistyczność niedziania się ściemniona. Nie mówię, że Lupa nie jest geniuszem, mówię tylko, że ja tego geniuszu nie rozumiem, bo może do Lupy nie dorosłem. Owszem, podziwiałem pięciogodzinne „Wymazywanie”, ale konałem w strasznych cierpieniach na „Persona. Marilyn”. Odpuściłem po „Placu Bohaterów” znów, jak „Wymazywanie”, według Bernharda, choć zniosłem to nie najgorzej, a finał wbiłby mnie w fotel, gdyby nie to, że i tak byłem już do niego po pięciu godzinach całkowicie przyrośnięty. Później znalazłem w odmętach internetu stary zapis Teatru Telewizji, gdzie sztukę Austriaka dało się zamknąć w półtorej godziny, i to bez większej szkody dla jej wartości, choć nie było to genialne, ma się rozumieć. Genialność poznajemy bowiem po długości przedstawienia – trzygodzinne jest doskonałe, czterogodzinne jest wybitne, pięciogodzinne genialne, sześciogodzinne to bezdyskusyjne arcydzieło.

Żałuję, że nie widziałem wrocławskiej „Wycinki” według Bernharda, tym bardziej że krótka powieść Austria-

ka traktuje o nadęciu artysty teatralnego i kabotyństwie ludzi sztuki – to temat dla Lupy wręcz stworzony. Och, przeczytałbym powieść Bernharda o wzdętym polskim reżyserze teatralnym, przeczytałbym z rozkoszą, tyle że Bernhard nie żyje. Lupie należą się order i honory za wprowadzenie Bernharda na polskie sceny, za konsekwentne Bernharda lansowanie. Lupie należy się aplauz za uporczywe wystawianie klasyków literatury niemie-

Genialność poznajemy po długości przedstawienia – trzygodzinne jest doskonałe, czterogodzinne wybitne, pięciogodzinne genialne, sześciogodzinne to bezdyskusyjne arcydzieło

ckojęzycznej, od Musila, przez Brocha, po Kafkę. W dzisiejszym teatrze, gdzie tekst literacki jest pretekstem do miksovania wszystkiego ze wszystkim i miejscem ekspresji niewyżytych grafomanów zwanych dramaturgami, niemających nic wspólnego z prawdziwymi dramatopisarzami, maniackie trzymanie się Lupy klasyków literatury budzi nieskłamany szacunek. Ale do kultu Lupy dzisiaj mam taki stosunek jak ikonokłasci do świętych obrazów. Bogowie istnieją bowiem po to, aby ich strącać z monumentów. **N**